

PRESiK

Magazyn Studentów Uniwersytetu Jana Kochanowskiego

W TYM
NUMERZE:

✿ "Uroczysko"
Brenna Nation

✿ Paraworld

JAK SIĘ
UCZYĆ?

LAS CZY
MIASTO?

PODRÓŻ DO
SANDOMIERZA



Z E S P Ó Ł

REDAKCyjNY

OPIEKUN KOŁA NAUKOWEGO dr Michał Jas

PRZEWODNICZĄCA KOŁA “MEDIASFERA” Natalia Płuciennik

REDAKTOR NACZELNY Janek Szpytak

ZASTĘPCA NACZELNEGO Wiktoria Śmigielska

SEKRETARZ Wiktoria Okoń

REDAKTORZY: Wiktoria Okoń
Wiktoria Zięba
Wiktoria Śmigielska
Maja Roge
Anna Bartczak
Irena Jankowska



S P I S

ARTYKUŁÓW

-
- 02** Kilka słów wstępu od redaktora naczelnego
- 03** „Uroczysko” Brenna Nation
recenzja książki o magii i tajemnicach
- 04** Świat smażony na teflonie
- 06** Kraj na trytytkach
- 08** Las czy miasto – kto do kogo wchodzi?
- 10** Jednodniowa podróż do Sandomierza
między słońcem, historią a zapachem wódki
- 12** Ucz się inaczej! Nietypowe sposoby na naukę
- 14** Zakłady Porcelany Ćmielów,
dwieście lat tradycji, która wciąż zachwyca
- 16** Paraworld – zapomniana gra o zapomnianym świecie



Kilka słów wstępu od redaktora naczelnego

Pochwalony czytelnicy!

Koniec roku akademickiego coraz bliżej, dlatego przybywamy niczym koń na białym rycerzu, żeby umilić wam czas nowym wydaniem Presika. Przesyłamy też pozdrowienia od naszej uroczej maskotyki: Psyducka- który w końcu zamieszkał w naszej redakcyjnej kanciapie. Zatem bez zbędnego przedłużania, zapraszamy do czytania!

Handwritten signature of Janusz Pętyś.

„Uroczysko” Brenna Nation, recenzja książki o magii i tajemnicach

Sapphire wychowała się w sierocińcu w czasie wojny. W dniu osiemnastych urodzin dziewczyna budzi się w nowym, pełnym magii świecie. Okazuje się być dawno zaginioną księżniczką, chociaż ma wrażenie, że coś jest z nią nie tak. Nikt nie odpowiada na jej pytania o przeszłość, a jedyną osobą znającą się jej nie okłamywać jest Ashes. Jednak wiedźmom cienia nie powinno się nigdy ufać...

Oczywiście zacznę od okładki – jest precudowna. Widać, że ktoś bardzo się z nią postarał. Dodatkowo, pasuje ten półbajkowy, pół senny styl, kolorystyka jest bardzo dobrze dobrana zarówno do estetyki, jak i fabuły. Ogromny plus za to.

Rozdziały mają przystępną długość, nie są zbudowane z kilku zdań, ale nie ciągną się na przestrzeni 50 stron. Jeśli zaś chodzi o język, to ma się lekkie wrażenie, że ta książka była pisana na kolanie, bez poprawiania i sprawdzenia pisowni w stworzonych już stronach.

Sprawa ma się podobnie w odniesieniu do fabuły. Zamysł był i to nawet oryginalny, ale chyba nie został wystarczająco dopracowany. Brakuje mi czegoś, jakiejś spójności, logiki, czegokolwiek. Po cichu liczę, że spowodowane jest to wyłącznie wprowadzeniem do całokształtu historii (to pierwszy tom), ale nie jestem pewna tej myśli.. Działania bohaterów nie mają sensu, z tego co zrozumiałam wiele z nich nie wynika nawet z emocji, są jakie są bo fabuła musi ruszyć, a nie wiadomo co innego zrobić. Rozterki głównej bohaterki mnie śmieszą, wymaga od innych zaufania, a przyjaciele pomagają jej bez wzajemności. Tak właściwie, oprócz sporadycznych wzmianek, mam wrażenie, że nie pyta o nic swojej niedawno poznanej „najlepszej przyjaciółki”, kto tak robi?

Nie jest to najgorsza historia, widać zamysł, pojawiają się ciekawe zwroty akcji, a także przyciągające uwagę niedopowiedzenia. Wykonanie niestety stawia całość pod znakiem zapytania. Nie mogę uściślić, czy niektóre błędy zależą wyłącznie od autora, czy także od tłumaczenia. Nie zmienia to faktu, że pojawiają się one.

Dałam jej szansę (kulturowy romans i wiedźmy, halo?) i bardzo możliwe, że z czystej ciekawości sięgnę po kolejny tom. Jako luźna pozycja bez oczekiwań raczej przejdzie bez większego echa, czy negatywnych myśli.



(za okładkę)

Maja Poge

Świat smażony na teflonie

Moim hobby w ostatnim czasie jest sprawdzanie etykiet. Nie kosmetyków, nie jedzenia. Patelni. Właśnie tak wygląda dorosłość w 2025 roku: stoisz w sklepie, obracasz patelnię, jak średniowieczny rycerz nowy miecz i szukasz magicznych słów: „bez PFOA”, „bez PFOS”, „bez tych wszystkich liter, które brzmią jak nazwy związków z podręcznika chemii, którego i tak nie przeczytałam”. Dlaczego? Bo — niespodzianka — wszyscy mamy w sobie trochę teflonowego glamouru. I to nie takiego, który sprawia, że błyszczysz jak gwiazda filmowa, tylko takiego, który w najlepszym wypadku osłabia twoją odporność, a w najgorszym... cóż, powiedzmy, że onkologiczny segment służby zdrowia nie narzeka na brak zajęcia.

PFAS-y: prezent od przemysłu na każdą okazję

Jesteśmy pokoleniami, które marzyły o inteligentnych domach, autach elektrycznych i kolonizacji Marsa. Dostało za to wieczne chemikalia. Coś jak „wieczne róże”, tylko zamiast kwiatów kwitnie nam rak nerki.

PFAS-y, czyli Per- i Polifluoroalkilowe Substancje (tak, też nie umiem tego wymówić), są wszędzie. W wodzie, w deszczu, w naszej krwi, a nawet w Arktyce. Gdyby pingwiny umiały mówić, pewnie już napisałyby podanie o azyl w Afryce, byle uciec od „nowoczesnych zdobywczy ludzkości”.

W Europie ciągle udajemy, że to nie nasz problem. „Coś tam wiemy, coś tam badamy”, mówią urzędnicy, po czym grzecznie wracają do picia wody, która prawdopodobnie ma więcej przemysłowego rodowodu niż oni sami.

A ja? Ja tylko czytam raporty i zastanawiam się, czy czasem nie powinnam zacząć pić wyłącznie wody z kaktusów.

Teflon: sukces, który przeszedł nam przez patelnię i wjechał do krwiobiegu

Historia teflonu zaczyna się niewinnie: młody chemik w 1938 roku odkrywa biały proszek o właściwościach, które zachwyciłyby każdą panią domu z PRL-u. Nic do niego nie przywierało — ani jedzenie, ani kwasy, ani ogień, ani zdrowy rozsądek.

Jolena Jankowska



W latach 60. rozpoczął się złoty wiek patelni nieprzywierających. Reklamy krzyczały: „Smaż bez wstydu i bez tłuszczu!”. O szkodliwości nikt nie wspominał — pewnie dlatego, że według korporacji jej nie było. A jeśli była, to jakże by się do tego przyznać? Na pewno nie w kraju, w którym amerykański sen smażył się na teflonie.

No więc firmy — a konkretnie DuPont i 3M — przechowywały sobie dokumenty, z których jasno wynikało, że C8, związek używany w produkcji teflonu, jest mniej więcej tak bezpieczny, jak wchodzenie na pole minowe w klapkach.

Co zrobiły?

Tak, zgadliście. Nic. A właściwie: „nic plus manipulowanie naukowcami, opinią publiczną i instytucjami państwowymi”. Taki komplet.

Rolnik, który zobaczył za dużo

W latach 90. pojawia się bohater, którego nie zamówiły korporacje: rolnik Earl z Zachodniej Wirginii. Ma swoje krowy, kawałek ziemi, strumień... i białą pianę, która wygląda jak resztki płynu do zmywania zmieszanego z sumieniem DuPonta.

Jego bydło pada masowo. Krowy mają powiększone organy, czarne zęby i zachowują się gorzej niż ja po trzech kawach na czczo. A co mówią miejscowe władze? „Czy ma pan dobrego adwokata?”, pyta weterynarz, zamiast — nie wiem — pomóc.

Spółeczność odwraca się od Erla, bo przecież fabryka jest dobrym sąsiadem: daje pracę, buduje boiska, stawia place zabaw. Co z tego, że truje przy okazji pół powiatu. Biznes to biznes, a zdrowie? Cóż, zdrowie jest dla słabych.

Prawnik, który wziął się za największych

Wchodzi Robert Bilott — spokojny, niepozorny prawnik, który wcześniej bronił korporacji chemicznych. Wiecie, taki typ, który potrafi rozebrać regulację środowiskową na części pierwsze i zrobić z niej origami. Kiedy rolnik przynosi mu sprawę z DuPontem w roli głównej, Bilott postanawia zrobić rzecz kompletnie nierozsądną: powiedzieć prawdę.

Spędził 20 lat życia na walce z firmą, która miała prawników, pieniądze i polityków w kieszeni. On miał tylko upór, nerwicę i dostęp do 110 tysięcy stron dokumentów, z których wynikało, że DuPont doskonale wiedział, co produkuje. Tak powstał jeden z największych procesów środowiskowych w historii USA. I choć ugody liczone są w miliardach, to dla tych gigantów to raczej koszt „marketingu kryzysowego”, a nie kara.

GenX i powrót do przyszłości

Kiedy wycofano C8, korporacje wynalazły GenX. Bo przecież jak coś jest toksyczne, to wystarczy zmienić jedną literkę, a problem magicznie znika. Niestety, naukowcy stwierdzili, że GenX jest równie sympatyczny co jego poprzednik.

Natura nie znosi próżni, przemysł — tym bardziej.

Europa budzi się z teflonowego snu

W 2022 Unia Europejska w końcu uznała, że może jednak nie powinniśmy pić chemikaliów, które przetrwałyby nawet apokalipsę zombie. I ruszyła do tworzenia największej regulacji chemicznej w historii — zakazu PFAS niemal wszędzie. Polska, jak to Polska, „jest w trakcie przyglądania się sprawie”. Ciekawe, czy jak PFAS-y będą wychodzić z kranów w formie galaretki, to też będzie „w fazie uzgodnień”.

Czy powinnam wyrzucić patelnię?

Nie panikujmy. Przynajmniej nie tak bardzo. Podobno główne narażenie na PFAS pochodzi z wody i jedzenia, a nie z patelni. O ile nie rozgrzewamy jej do 360 stopni — a większość z nas nie smaży schabowego w temperaturze topnienia lawy — powinno być okej. Jednak jeśli patelnia wygląda jak po walce z Wolverine’em, a powłoka odchodzi płatami — to wiedz, że coś się dzieje. Mikroplastik lubi wtedy dostać się do jedzenia, a choć nie wiemy jeszcze, co dokładnie robi w naszym organizmie, to jakoś nie widzę w tym potencjału na pozytywne skutki.

A alternatywy? Ceramika się ściera, stal rdzewieje, żeliwo jest cięższe od moich problemów życiowych. Nie ma idealnej patelni — tak jak nie ma idealnej gospodarki.

Gospodarczy morał, czyli co naprawdę smaży się za kulisami

PFAS-y to nie tylko chemikalia. To system. System, w którym korporacje stosują zasadę: zysk najpierw, ludzie potem, środowisko nigdy. Regulacje powstają dopiero wtedy, gdy problem staje się niemożliwy do ukrycia, a konsumenci dowiadują się o skutkach dopiero po dekadach. Produkcja nowej, „bezpiecznej” substancji zaczyna się zanim jeszcze poprzednia zniknie z rynku.

Gospodarka kocha innowacje. Zwłaszcza takie, które wytrzymają wszystko — poza odpowiedzialnością.

A ja wciąż stoję przed półką z patelniami. Trzymam jedną, niby „bezpieczną”, obracam ją w dłoni i pytam samą siebie: Czy to ja smażę na patelni, czy może patelnia smaży mnie?

I dochodzę do wniosku, że jedyne, naprawdę wieczne w tej historii są nie chemikalia... tylko ironia losu.

Kraj na trytytkach

Polska. Kraj, w którym wszystko powinno się dawno rozpaść, a jednak - niczym wiekowy traktor pamiętający czasy Gierka - wciąż jedzie. Na trytytkach, na taśmie dwustronnej z bazaru i na resztkach nadziei, którą Polacy noszą w sobie jak talizman. Gdybyśmy zgubili ją po drodze, może wreszcie trzeba by zacząć coś naprawiać. Ale dopóki to „jakoś działa”, po co?

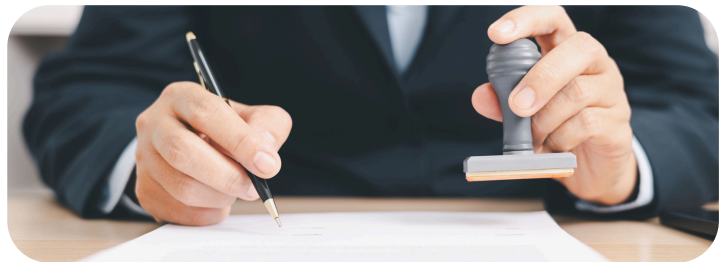
Nie jestem politycznym ekspertem. Nigdy nie twierdziłam, że nim będę. Jestem - jak sama o sobie mówię - córką niedorzętej arystokratki i dezertera od pług, którzy ku ucieście losu i ku mojemu późniejszemu nieszczęściu ideologicznemu, jakimś cudem zostali komunistami. Wychowana w domu, w którym portret Sobieskiego sąsiadował z „Kapitałem” Marksa, a legenda o przodku-adiutancie króla mieszała się z cytatami z „Trybuny Ludu”. Taki koktajl nie mógł dać nic innego niż światopoglądowy zez.

W komunie nie widzę utopii - raczej tłustego molocha, który zjada własne dzieci, nie przeżuając. W demokracji widzę spektakl cieni: iluzję uczestnictwa i subtelną, ale konsekwentną formę wyzysku. Dyktatura? Dyktatura to już nawet nie spektakl, tylko kaganiec wbijany w pysk obywatela jak u narowistego konia.

Dubitare ergo cogitare, cogitare ergo sum - wątpię, więc myślę, myślę, więc jestem. Wątpliwość mam we krwi. A skoro mam - nie wierzę ani w ustrój, ani w polityków, ani w ich przedwyborcze obietnice pachnące jak perfumy z Rossmanna: intensywnie, ale tanio. Dlatego nigdy nie brałam udziału w politycznych dyskusjach. Nie po to, by być antysystemowa - przeciwnie, jestem systemowa aż do szpiku. Tylko że mój szpik, od dzieciństwa nasączony skrajnymi ideologiami, nie nadaje się na towarzysza poważnych debat.

Świat nigdy nie był czarno-biały. W polityce kolory rzadko kiedy określają partie - częściej stopień zabrudzenia. A kiedy nie wiadomo, o co chodzi, to przecież wiadomo, o co chodzi. Zawsze.

Dlatego też nie mogę, naprawdę nie mogę, wybierać między mniejszym a większym złem. Brak głosu bywa jak pusty krzyk - ledwie słyszalny, ośmieszany przez jednych, wzruszany ramionami przez drugich - ale nadal jest formą sprzeciwu. Cichą, ale moją.



A jednak.

Tego roku złamałam własną zasadę. Ruszyłam, z pełną premedytacją, na pierwszą turę wyborów, żeby zagłosować na... Stanowskiego. Paradoksalnie - właśnie dlatego, że nie chciał wygrać. W całej tej farsie wyczułam energię starej, dawno już nieistniejącej internetowej noweli z lat 2008/2009 - „Prezydent Internetu”. Opowieść o człowieku, który do polityki trafił przypadkiem, z mema, z żartu. A żart - jak to w Polsce - wymknął się spod kontroli.

W tamtej historii prezydent nie przetrwał nawet trzech dni. W naszej - trudno stwierdzić, czy ktokolwiek przetrwa choć jedną pełną kadencję w stanie przypominającym zdrowie psychiczne.

Zresztą, prezydent. Funkcja, która w polskich realiach wygląda jak marionetka w teatryku dla dużych dzieci. Legislacyjnie niemal bezsilna. Ma weto, które bywa jak parasol w huraganie - ładnie wygląda, niewiele daje. Prezydent ma świecić, machać ręką na arenach międzynarodowych, robić wrażenie, że Polska to Polska, choć w rzeczywistości rządzą partyjne kuluary.

Sejm, Senat – teoretyczne serce demokracji – przypominają czasem bazar, na którym politycy walczą o dostęp do najlepszych stoisk. Jedni otwierają ulice i przecinają wstęgi, drudzy pozują w mediach, trzeci jadą na wakacje, po których PR-owcy muszą zamiatać. Afera za aferą, zastłona dymna za zastłoną, aż człowiek przestaje wierzyć, że dym kiedykolwiek opadnie.

Moja matka – arystokratka z fantazji i komunistka z przekonania – zwykła mawiać:

„Kiedy każdy ma po równo, jest dobrze.”

Ciułała grosze jako nauczycielka historii, głosząc teorie spiskowe o Syjonie i masonerii, które miały być odpowiedzią na wszystko, co ją przerastało. Kazała mi nauczyć się drzewa genealogicznego do XVII wieku – bo „trzeba znać swoje korzenie” – i jednocześnie z dumą chodziła na pochody pierwszomajowe. Logika?

Logika była wtedy jak Polska teraz – krucha, ale jakoś działająca.

Ojciec – chłop, który uciekł ze wsi, by przeżyć swoje prywatne „od pucybuta do kogoś tam” – narzekał, że ziemia idzie za granicę, że „za komuny to przynajmniej było co robić”, choć pierwsze, co zrobił po wejściu w dorosłość, to ucieczka od pracy na tejsze komunistycznej ziemi.

Oboje byli hipokrytami, ale takimi swojskimi ludzkimi. A ja – wychowana w tym ideologicznym przeciągu – uciekałam nie w politykę, ale w prawo. Bo politycy zmieniają się jak obsada w brazylijskiej telenoweli, a prawo przynajmniej udaje, że jest stałe.

I właśnie prawo doprowadziło mnie do odkrycia, które stanowi pointę tego reportażu.

Było lato. Kielce pachniały nagrzanym betonem i watą cukrową. Przechadzałam się parkiem, mijając wrzeszczące dzieci – te małe promyki nadziei naszego narodu – kiedy zobaczyłam ją. Kaczkę. Sunęła po powierzchni brudnego stawu przy Ogrodowej z godnością, jakby zarządzała tym bajorem.

I ja, dorosła kobieta, pomyślałam:

Chcę ją.

Chcę tę kaczkę zabrać do domu.

Tego samego dnia przekopałam przepisy prawne. Jako obywatelka, podatniczka, osoba, która zgodnie z prawem nie brała nic od państwa oprócz stresu – chciałam wiedzieć, czy mogę adoptować kaczkę z kieleckiego parku.

Nie mogłam.

Kaczka miejska to dobro wspólne. Chronione. Nie wolno jej zabierać, dotykać, a nawet dokarmiać. Gdyby sama przyszła pod moje drzwi i zapytała: „Weźmiesz mnie?” – musiałabym odmówić.

Absurdalnie, prawo nie obejmuje w ten sam sposób wron, kruków, gawronów ani nawet łabędzi.

Ale kaczek – owszem. Kaczka ze wsi? Można wziąć. Kaczka z miasta? Zakaz. Kaczka dzika? Zakaz. Kaczka, którą chcę uratować od betonowego bajora? Zakaz.

To właśnie Polska.

Kraj, w którym nie wolno wziąć kaczki z parku, ale można wziąć myszojelenia, jeśli się przyplącze. Kraj, w którym systemy polityczne zmieniają się jak ubrania w lumpeksie, a przepisy potrafią stabilnie trwać dekady – niekiedy bez sensu, ale z dumą. Kraj, w którym obywatel nie może mieć kaczki, ale polityk może mieć kraj.

I to jest sedno.

Sedno naszego państwa: absurd, który działa.

Jak wszystko tutaj – na trytytkach.

Jolena Jankowska



Las czy miasto – kto do kogo wchodzi?

Wiosna już wśród nas. Temperatura wzrasta, a kwiaty i drzewa nabierają kolorów. W tym czasie do życia budzą się również zwierzęta. Jednak niektórym z nich nie jest dane długo cieszyć się wiosennymi promieniami słońca. Wiele ginie pod kołami samochodów, jeszcze zanim zdążą wyprowadzić młode na świat, odnaleźć własne terytorium, czy po prostu na dobre obudzić się z zimowego odrętwienia. Co możemy zrobić, aby zwierzęta mogły bezpiecznie powrócić do wiosennej aktywności?

Wiktoria Zięba

Wraz z nadejściem wiosny zwierzęta kończą okres zimowej stagnacji. Zaczyna się czas rozrodu i zdobywania pokarmu, a młode osobniki szukają terytorium. W związku z tym, możemy napotkać na swojej drodze dzikie zwierzęta. Do najczęstszych spotkań dochodzi między innymi z lisami, sarnami i dzikami. Wychodzą one z lasów na drogi, a nawet zbliżają się do miast. Statystyki pokazują, że w samej Polsce liczba wypadków z udziałem zwierząt wynosi nawet 30 tysięcy rocznie. Niedawno w internecie popularne były filmiki youtubera Friza, który wraz ze swoją 3-letnią córką, odstraszał z łopata w ręku dziki. Zwierzęta weszły na posesję nieopodal śmietników, prawdopodobnie w poszukiwaniu pożywienia. Należy jednak pamiętać, że dzik (zwłaszcza locha z warchlakami) może zaatakować człowieka. Dzikie mogą dotkliwie poturbować, używając kłów. Dlatego nie powinno się do nich zbliżać, dokarmiać ani hałasować.

Mój rodzinny dom jest na Podkarpaciu, w okolicach Bieszczad, dlatego starcia ze zwierzętami nie są mi obce. Pod moje ogrodzenie praktycznie codziennie podchodziło stado saren, które pasło się na pobliskich polach. Niestety, często doprowadzały one do różnego rodzaju kolizji drogowych, zapuszczając się w głąb miasta. W ostatnich latach w moich rodzinnych stronach coraz głośniejszym alarmuje się w sprawie wilków.

Mylone z psami przemykają między budynkami. W 2023 roku zagryzły stado owiec, a później kilka psów, które były uwiązane przy budach, tuż przy domach. W Bieszczadach poważne zagrożenie stwarzają również niedźwiedzie. Zbliżają się do domostw, aby zdobyć łatwe pożywienie w postaci wystawionych kontenerów lub worków z odpadkami.

Przemieszczając się różnymi drogami można napotkać wiele truchel zwierząt, które straciły życie pod kołami. Od żab, wiewiórek i ptaków, do saren, a nawet łosi. Dlaczego zwierzęta zbliżają się do miast? Przede wszystkim przez rozrastającą się zabudowę. Powstają nowe miasta, nowe budynki, a tym samym znikają lasy i pola. Inną przyczyną jest fragmentacja siedlisk, czyli proces, w którym duży, ciągły obszar naturalnego środowiska (np. las, łąka, mokradła) zostaje podzielony na mniejsze, oddzielone od siebie segmenty. Dzieje się tak przez budowę dróg, ogrodzeń, osiedli, czy linii kolejowych. Poza tym, miasto jest wolne od drapieżników, które czyhają w lesie, a śmietniki i ogródki zapewniają łatwy dostęp do jedzenia.



Co można zrobić, aby ograniczyć zagrożenie zarówno ludzi, jak i zwierząt?

Rozwiązaniem mogą być przejścia dla zwierząt, tzw. ekodukty, które wyglądają jak szeroki, zielony most nad drogą. Umożliwiają one zwierzętom bezpieczne przemieszczanie się między fragmentami siedlisk. Pomocne w ochronie zwierząt mogą być też ogrodzenia wzdłuż dróg. Specjalne siatki zapobiegają wtargnięciu zwierząt na jezdnię, kierują je w stronę ekoduktów oraz zmniejszają liczbę kolizji. Innym pomysłem są „zielone kliny”, czyli pasy terenów zielonych wchodzących w strukturę miasta od jego obrzeży w kierunku centrum. Mogą to być doliny rzeczne, pasy lasów ciągnące się w głąb miasta, ciągi parków połączone w jeden system lub nieprzerwane tereny zieleni między osiedlami. „Zielone kliny” umożliwiają migrację zwierząt i zmniejszają ryzyko ich wtargnięcia na ruchliwe drogi. Zostawienie przestrzeni naturze nie jest stratą - jest inwestycją w równowagę.



A co możemy zrobić jako jednostka?

§ Pamiętajmy o tym, aby jeździć ostrożnie, zwłaszcza w terenach leśnych oraz o zwracaniu uwagi na znaki ostrzegawcze.

§ Nie dokarmiamy dzikich zwierząt. Jeśli poznają, że miasto może zapewnić im lepsze warunki niż naturalne środowisko, to coraz częściej będą naszymi gośćmi.

§ Zabezpieczajmy odpady. Worki powinny zostać zastąpione kontenerami, a te powinny być szczelnie zamknięte.

§ Nie zbliżajmy się do dzikich zwierząt, mogą być niebezpieczne.

Wiosna przypomina nam, że nie jesteśmy jedynymi mieszkańcami tego świata. Od naszych codziennych decyzji zależy, czy zwierzęta będą mogły bezpiecznie funkcjonować, zamiast ginąć na skrajach naszych dróg.

Jednodniowa podróż do Sandomierza, między słońcem, historią a zapachem wódki

Gdy latem 2024 roku Urząd Miasta Kielce zaprosił mieszkańców na jednodniową wycieczkę do Sandomierza, projekt był już właściwie wygaszany. Ostatni rzut unijnych funduszy, ostatnia okazja, by „zagospodarować środki” w sposób, który przynajmniej w dokumentach będzie wyglądał na integrację społeczną. Skorzystałam. Ciekawość zwyciężyła nad zdrowym rozsądkiem.

Punktem zbiórki był parking przed Starym Cmentarzem w Kielcach — miejsce, które samo w sobie, jak na ironię, wprowadzało ton melancholii i lekkiej groteski. Wśród czterdziestu uczestników znalazła się mozaika ludzi: młodzi dorośli, studenci, matka z dwójką dzieci, starszy weteran... i reszta, w większości przedstawiciele tak zwanego „marginesu społecznego”. Stali bywalcy miejskich ławek i noclegowni, alkoholicy z wieloletnim stażem, kilka osób bezdomnych. Trudno było nie zastanawiać się nad tym, czy to właśnie na takich uczestników liczone w unijnych tabelkach.

Kiedy autokar wreszcie ruszył — z opóźnieniem, które nikogo nie dziwiło — pierwszym, co usłyszałam, był znajomy dźwięk: rytmiczne stukanie szklanych butelek, „sprytnie przemyconych” na tylnych siedzeniach. Panie z Urzędu nie reagowały. Może nie widziały (choć trudno było nie zauważyć), może nie chciały widzieć. Zbyt wiele projektów zależało od tego, by nie komplikować sobie życia.

W stronę Sandomierza — z zapachem proszku do prania i taniej wódki

Autokar pachniał jakby ktoś próbował jednocześnie ukryć i podkreślić rzeczywistość: proszek do prania mieszał się z intensywnymi perfumami jednej z uczestniczek, zapachem brudnej skóry i taniego alkoholu. Na szczęście była też pani Gosia, przewodniczka, kobieta o głosie, który potrafił przebić się przez każdy z tych aromatów. Jej historie o mijanych wioskach i świętokrzyskich wzgórzach były jak radio z innego świata — świata harmonii, spokoju i porządku.



Źródło: Urząd Miasta Sandomierz, <https://sandomierz.eu/2571/spacer-historyczny.html>

Oczywiście nie obyło się bez przystanków na papierosa. Nasza szlachetna część drużyny nie była w stanie wytrzymać półtorej godziny jazdy bez „szluga”, więc zatrzymaliśmy się dwa razy, a plan wyjazdu zaczął się rozjeżdżać tak, jak źle ustawione biegi w starym autobusie.

Podziemna Trasa Turystyczna — chłód, ciemność i porcelanowe pragnienia

Sandomierz przywitał nas upałem. Lato tego dnia postanowiło dać popis pełni możliwości. Dlatego zejście do Podziemnej Trasy Turystycznej było jak wejście do innego wymiaru — chłodnego, wilgotnego, cichego. Przewodniczka opowiadała o zabytkach z pasją, a klaustrofobiczne korytarze, oświetlone przytłumionym światłem, wprowadzały w nastrój przyjemnej, muzealnej niepewności.

Jreana Jankowska

Ale bardziej niż eksponaty obserwowałam ludzi. Matka próbowała okiełznać znużone dzieci, dla których średniowieczne kupieckie magazyny miały mniej atrakcji niż smartfon. Studenci robili selfie z każdym obiektem, który mógł wyglądać „historycznie”. Alkoholików za to najbardziej zainteresowała porcelana ćmielowska — nie ze względu na jej urodę, ale na potencjalną wartość i możliwość „sprytnego wyniesienia”. Po obowiązkowych zdjęciach grupowych — materiał niezbędny, by udowodnić w sprawozdaniu, że projekt aktywizacji społecznej przebiega wręcz wzorowo — trafiliśmy do pomieszczenia z beczkami wina. Drewniane, pięknie rzeźbione, z herbami lokalnych winiarni. Entuzjazm części grupy ucichł dopiero wtedy, gdy okazało się, że beczki są puste. Rekwizyty. Reklama. Nic, co można by „spróbować”.

Wspinaczka na wieżę — a ja na ławce

Różnica temperatur po wyjściu z podziemi była jak policzek. Na zewnątrz 30 stopni i rosnąca duchota. Mimo to pani Gosia poprowadziła nas na wieżę widokową. Towarzyszyłam starszemu weteranowi, który nie był w stanie wejść na górę — ja, prawdę mówiąc, też nie miałam ochoty. Usiedliśmy więc na ławeczce w cieniu i kontemplowaliśmy panoramę miasta. W przerwach między jego anegdotami wojskowymi, poznałam streszczenie wszystkich sezonów serialu Ojciec Mateusz. Mój towarzysz śledził wzrokiem każdy rower i każdą księżowską sutannę, jakby liczył na cudowną obecność serialowego księdza-detektywa. Zamiast niego pojawiły się zabytkowe auta, ustawiające się w kolejce do pokazu. I to musiało wystarczyć.

Bazylika — chłód, modlitwy i sprawiedliwość

Droga do bazyliki była już powolnym, ospałym marszem. Ciepło i alkohol wzięły swoje. Wnętrze kościoła przywitało nas chłodem i ciszą, które natychmiast uciszyły nawet największych malkontentów. Gotycka surowość tego miejsca działała jak lodowaty prysznic.

I znów obserwowałam ludzi. Ci sami, którzy jeszcze przed chwilą narzekali na wszystko, teraz klękali jak jeden mąż. Prosząc — o chłód, o pieniądze, o zdrowie, o... „sprawiedliwość”. Jakkolwiek ją rozumieli. Ja zaś, nieco bardziej sceptyczna, zwiedzałam wnętrza i rozmawiałam z panią Gosią, czekając aż skończy.

Po kolejnej sesji pozowanych zdjęć — uśmiechy na twarzach, przekrwione oczy, chwiejne postawy — przyszedł czas na obiad. Rosół z kostki, klopsy w sosie, ziemniaki rozgotowane, ale uczciwie doprawione, i surówka... taka, że tylko Bóg znał jej skład. Smaczne to może nie było, ale miało w sobie urok domowej, nieskomplikowanej kuchni.

Awaria i ostatnia niespodzianka

Powrót zapowiadał się spokojnie. Ludzie zmęczeni upałem przysypiali, dzieci spały jak aniołki. Do czasu. Około 40 kilometrów od Kielc autokar zrezygnował. Kierowca wymieniał nazwy części, które mogły ulec awarii — dla mnie to brzmiało jak zaklęcia w obcym języku. Jedno było pewne: dalej nie jedziemy.

Przystanek obok Biedronki okazał się idealnym miejscem dla części uczestników, by uzupełnić zapasy alkoholu. Zanim ktokolwiek ich zauważył, kilku zniknęło między regałami sklepu.

Po ponad godzinie podjechał autokar zastępczy. Ruszyliśmy... i wtedy okazało się, że brakuje jednej osoby. Jeden z uczestników postanowił — nie informując absolutnie nikogo — złapać stopa. Zastanawiam się do dziś, kto zdecydował się podwieźć kompletnie pijanego mężczyznę z jednym zębem, przypominającym otwieracz do puszek.

Epilog

Do Kielc wróciliśmy późnym popołudniem. Zmęczeni, spoceni, ale cali. A ja, mimo tego wszystkiego, wspominam wycieczkę dobrze. Głównie dzięki pani przewodniczce, dzięki miejscom, które od dawna chciałam odwiedzić, i dzięki absurdowi sytuacji, który — choć momentami męczący — nadał całej wyprawie ton opowieści. Jedynym minusem było towarzystwo, które ktoś najwyraźniej zebrał tylko po to, by puste miejsca w autokarze nie psuły statystyk projektu. Ale może właśnie takie paradoksalne, nieidealne wyjazdy pamięta się najlepiej?



Ucz się inaczej! Nietypowe sposoby na naukę

Godzina 22.00. Twoje biurko tonie w notatkach, które widzisz po raz pierwszy w życiu. Twój telefon nieustannie wibruje - to przyjaciele z twojego roku konsultują się wzajemnie w sprawie... kolokwium? No tak! Śmiertelnie o tym zapomniałeś. Siadasz na fotelu - 3 miesiące nauki w jedną noc? Brzmi jak Mission Impossible! Każdy z nas był kiedyś w tym miejscu. Każdy z nas uczył się czegoś na ostatnią chwilę, pisał referat parę godzin przed upływem terminu czy trzymał kciuki, że prowadzący zajęcia będzie miał wyjątkowo dobry dzień i nie będzie przepytawać studentów. Co zrobić w takiej sytuacji? Jaki sposób nauki wybrać? Wszyscy słyszeliśmy o fiskkach, uczeniu się na głos czy zakreślaniu ważnych rzeczy kolorowymi markerami. Może jednak warto wybrać nieco bardziej niekonwencjonalne metody?

Nauka z latarką w ciemnym pokoju

Brzmi jakbyś miał znowu 10 lat i ukrywał się przed rodzicami, żeby w nocy czytać książki czy komiksy? Bez wątplenia. Jednak ta metoda całkowicie wyklucza z twojego otoczenia wszystkie rozpraszacze. Zostajesz tylko ty i twoje notatki. Poza tym, możesz udawać, że zamiast całek czy anglojęzycznych słówek wkuwasz jakieś niezmiernie ważne, sekretne informacje. Wtedy od razu podejdziesz do nauki zupełnie inaczej. Jednak uwaga! Częste stosowanie tej metody może uszkodzić twoje oczy, dlatego lepiej używać jej raczej jako koło ratunkowe.

Wybierz jakąś kuriozalną piosenkę i śpiewaj do niej swoje notatki

To może być coś kompletnie spoza twojej bańki - piosenka, która jest dla ciebie trochę niepokojąca czy drażniąca albo reprezentuje gatunek muzyczny, którego normalnie nie słuchasz. Chodzi o skojarzenie - im bardziej absurdalną sytuację wywołasz, tym Twój mózg lepiej ją zapamięta!

FB antezabw



Study with me!

Na youtube można znaleźć dużo wielogodzinnych filmów, gdzie inne osoby również się uczą. Włączenie sobie takiego filmu na telefonie czy laptopie pomaga w skupieniu - skoro osoba na filmie potrafi pozostać skupiona przez pewien czas, to ty też możesz! Filmów tych jest na tyle dużo, że z pewnością znajdziesz coś dla siebie - muzyka albo odgłosy deszczu w tle, czy może sam odgłos przewracanych papierów i pisania na klawiaturze?

Co by by było, gdyby...? Alternatywna rzeczywistość!

Bycie studentem przed kolejnym kolokwium nie wydaje się być niczym niezwykłym. Dlatego wyobraź sobie, że do ziemi zbliża się ogromny meteoryt i jedynie ty możesz go zatrzymać, dzięki nauczeniu się materiału. Albo że w kraju wybuchła niebezpieczna epidemia, której powstrzymanie zależy od Twojej wiedzy. Albo że jesteś w grze komputerowej i każda przeczytana strona to kolejny punkt twojego doświadczenia. Im bardziej angażujący scenariusz, tym większa motywacja!

Muzyka w tle

Warto jeszcze wspomnieć, że muzyka puszczone w tle może być kompletnie rewolucyjna. Nie tylko zmienia atmosferę w twoim pokoju, ale może przenieść cię w kompletnie inne miejsce czy epokę. Żeby dopełnić klimat, przygotuj świeczki lub uporządkuj biurko. Zanim się obejrzyś, zaczniesz romantyzować naukę!

Poniżej kilka muzycznych poleceń:

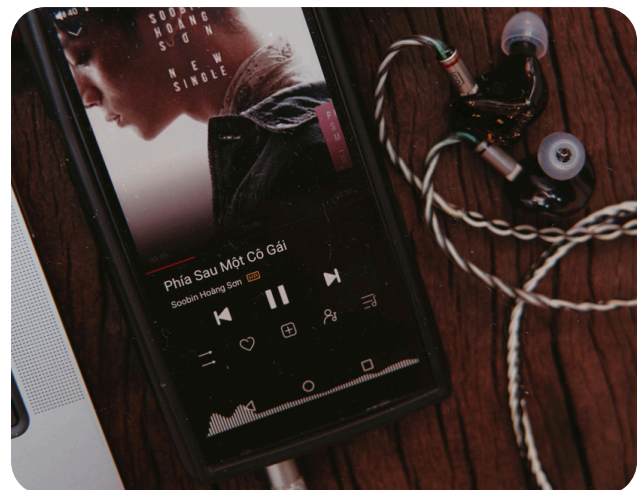
Dark Academia Music – playlisty najczęściej z charakterystyczną muzyką klasyczną. Klimat żywcem wyjęty ze „Stowarzyszenia umarłych poetów”. Poczujesz się jak student gotyckiego XIX-wiecznego uniwersytetu. Siedzisz przy świecach w olbrzymiej, zakurzonej, ciemnej bibliotece i czytasz utopijne powieści, albo piszesz wiersze czy listy swoim kaligraficznym pismem.

Podobny klimat znaleźć można w playlistach **Light Academia** – tutaj jednak jest mniej dramatyzmu, baroku i melancholii. W tym przypadku czytasz swoje notatki spacerując po kampusie renesansowego uniwersytetu w piękny, słoneczny dzień.

Cottagecore Music – uwielbiasz naturę i marzysz o nauce na łące czy w lesie? Proszę bardzo! Playlisty w tym stylu przepełnione są szumem wiatru i śpiewem ptaków. Wyobraź sobie, że uczysz się na kocu na pięknej, magicznej, słonecznej polanie.

Jednym z bardziej znanych typów są **Lo-fi beats** czy **hip hop**. Jeśli nie podoba ci się standardowa playlista, sprawdź, czy soundtrack z twojego ulubionego filmu i serialu nie ma przypadkiem wersji lofi. Może to właśnie jest to, czego szukasz!

Niektóre osoby wspominają o **Coconut Mall**. To dość nietypowe, jednak internetowe wypowiedzi osób z ADHD wskazują, że ten soundtrack wyjątkowo pomaga im w skupieniu. Warto spróbować!



Zakłady Porcelany Ćmielów, dwieście lat tradycji, która wciąż zachwyca

Zakłady Porcelany Ćmielów to jedna z najstarszych i najbardziej rozpoznawalnych polskich marek, której historia sięga XVIII wieku. Z lokalnej manufaktury przekształciła się w symbol piękna, jakości i rzemieślniczej precyzji. Dziś jej porcelana trafia zarówno do muzeów, jak i do codziennych domów - a sama firma aktywnie wspiera inicjatywy edukacyjne, m.in. co roku fundując nagrody w II etapie Olimpiady Wiedzy o Mediach na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Wiktoria Smigielka

Początki: od glinianych naczyń do porcelanowych arcydzieł

Historia ćmielowskiej manufaktury rozpoczęła się w 1790 roku, kiedy to w niewielkiej świętokrzyskiej miejscowości powstał warsztat produkujący naczynia gliniane i fajansowe. Już w pierwszych dekadach XIX wieku zakład rozwijał się dynamicznie - szczególnie po objęciu go przez hrabiego Jacka Małachowskiego w 1809 roku.

Prawdziwy przełom nastąpił jednak w 1838 roku, gdy uruchomiono produkcję porcelany. Od tego momentu Ćmielów zaczął kształtować swoją pozycję na rynku, a wytwarzane w nim serwisy stołowe i filiżanki szybko zdobyły uznanie dzięki delikatności, trwałości i wysokiej estetyce.

Budowanie marki: wzory, znaki i artyści

W drugiej połowie XIX wieku zakład zaczął nadawać swoim wyrobom charakterystyczne oznaczenia.



Źródło: <https://porcelana.com.pl/cmielow/>

Od 1887 roku na spodzie porcelany pojawiały się znaki firmowe - napis „Ćmielów” lub łabędź, które po dziś dzień stanowią symbol jakości.

Ćmielów zatrudniał wielu cenionych projektantów i modelarzy. Ich prace wpłynęły na rozwój charakterystycznego dla marki stylu: eleganckiego, klasycznego, ale otwartego na artystyczne eksperymenty. Dzięki temu porcelana ćmielowska zyskała międzynarodową renomę, trafiając zarówno do prywatnych kolekcjonerów, jak i do reprezentacyjnych wnętrz.

Po wojnie: tradycja w nowych realiach

W 1946 roku zakład został upaństwowiony, jednak mimo zmian politycznych nie utracono rzemieślniczego charakteru produkcji.

W Ćmielowie powstała Zasadnicza Szkoła Ceramiczna, kształcąca kolejne pokolenia malarzy i zdobników.

Lata 50. i 60. XX wieku przyniosły szczególny rozkwit - powstawały wtedy słynne figurki i zestawy o nowatorskich, modernistycznych formach. To właśnie z tego okresu pochodzą projekty, które dziś uchodzą za ikony polskiego wzornictwa i są poszukiwane przez kolekcjonerów.

Współczesność: między tradycją a nowoczesnym designem

Po prywatyzacji w 1997 roku firma odzyskała większą swobodę w kreowaniu oferty. Ćmielów nadal produkuje porcelanę cienkościenną najwyższej jakości, zachowując klasyczne kolekcje, ale jednocześnie stawiając na śmiałe wzornictwo.

W 2013 roku powołano Ćmielów Design Studio, które łączy dziedzictwo marki z trendami współczesnej ceramiki użytkowej. Efektem współpracy z projektantami są nowe linie produktów - świeże, odważne, ale nadal „ćmielowskie” w duchu.



Źródło: https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/2/2e/LOGO_MARKI_%C4%B8MIEL%C3%93W.png

Źródło: <https://porcelana.com.pl/cmiewow/>



Zaangażowanie społeczne: porcelana i edukacja ramię w ramię

Ćmielów to marka, która nie tylko produkuje piękne przedmioty — aktywnie wspiera również inicjatywy edukacyjne i młodzieżowe. Co roku firma funduje nagrody dla uczestników II etapu Olimpiady Wiedzy o Mediach na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach. To ważny gest, który podkreśla, że dziedzictwo kulturowe i odpowiedzialność społeczna mogą iść w parze.

Ćmielów - piękno zapisane w porcelanie

Historia Zakładów Porcelany Ćmielów to opowieść o wytrwałości, rzemieślniczej pasji i setkach godzin pracy artystów, którzy przez ponad dwa stulecia tworzyli markę znaną dziś w całej Europie. To także przykład nieustannego dialogu między tradycją a nowoczesnością dialogu, dzięki któremu porcelana z Ćmielowa nie traci aktualności, stając się częścią naszej codzienności oraz kulturowego dziedzictwa.

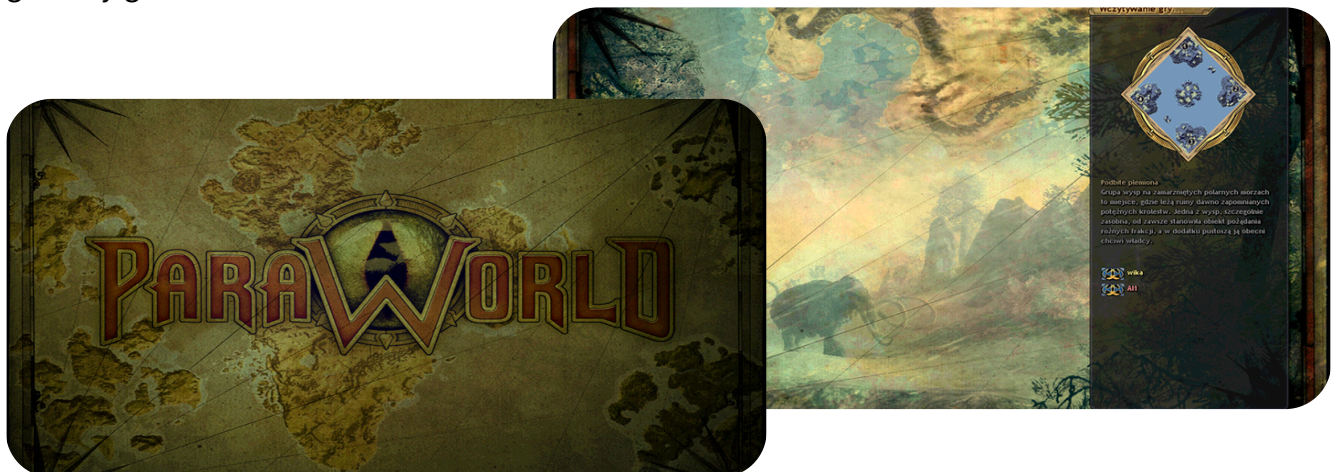
Paraworld – zapomniana gra o zapomnianym świecie

Wiktoria Okoń

Paraworld jest grą stworzoną na początku XXI wieku. Niestety nie zyskała ona szerokiej rozpoznawalności, ponieważ krótko po wydaniu jej wydawca zakończył działalność, a gra na dzień dzisiejszy „jest niczyją”. Opowiada ona o równoległej rzeczywistości, w której technologia współgra z naturą. Ale to dopiero początek historii, w której fabuła jest tak samo ważna, jak wszystko inne.

Niech poleje się krew – o fabularnej stronie historii

Gra zaczyna się dość niewinnie – trójka naukowców – Cole, Stina oraz Bela wysyłani są na misję do równoległego świata. Co może pójść źle? Tak właściwie to wszystko i dokładnie tak się dzieje. Bo okazuje się, że osoby, które wysłały bohaterów w inny świat, chcą się ich pozbyć. Tak zaczyna się pierwsza misja, początkowo grana z różnych perspektyw. Oczywiście, jak w większości gier, celem misji, a tak właściwie całej gry jest zabicie czegoś/kogoś/zdobycie budynku. Bohaterowie szukają odpowiedzi na różne pytania – jak znaleźli się w innym świecie? Dlaczego nie ma tu elektryczności? I najważniejsze – jak wrócić do rzeczywistości. By odpowiedzieć na to ostatnie pytanie, podróżują po różnych łądach, pustyniach, śnieżnych krainach. Po drodze poznają trzy plemiona zamieszkujące ten świat, a także bohaterów – między innymi Arcydruida oraz Nikolaja Tasłowa (ciekawe skąd się wziął ten ostatni i co wspólnego ma z technologią). Okazuje się również, że za ich podróżą stoi SEAS – organizacja, którą muszą pokonać. Cała podróż obejmuje kilkanaście misji, które są do siebie bardzo podobne, ale jednak różne. Rozrywka na długie godziny gwarantowana!





Wikingowie, Amazonki i Chińczycy - z czym je się Paraworlda?

Paraworld nie opiera się tylko na walce. Istotnym elementem dla całości rozgrywki są kwestie gospodarczo-ekonomiczne. W grze zatrudniamy robotników, którzy wznoszą budynki, takie jak magazyny lub koszary, pozwalające rekrutować jednostki piechoty. Oczywiście zwierzęta są dostępne, i to jakie! Mnóstwo różnych rodzajów dinozaurów! Aż żal nie skorzystać. Oprócz standardowych surowców potrzebnych do rozbudowy oraz wnoszenia kolejnych epok (dają one dostęp do nowych budynków oraz jednostek), mamy również czaszki. Służą one głównie awansom jednostek na wyższe poziomy - im jednostka jest wyżej, tym ma lepsze statystyki. Pozyskuje się je za zabicie neutralnych lub nieprzyjacznych istot. Ale uwaga - im wyższy poziom, tym mniej miejsca na jednostki. Szczególnie podczas kampanii, bardzo ważne jest taktyczne podejście do tego zagadnienia.

Najważniejsza w Paraworldzie jest co prawda fabuła, ale gra nie zamyka się tylko na tym aspekcie. Gdy gracz będzie chciał zrobić sobie od niej przerwę, może zagrać w potyczki. Są to mapy, w których trzeba przejąć dominację na mapie lub się obronić, w zależności od typu mapy. By zagrać w pojedynczy scenariusz, trzeba wybrać jedno z trzech plemion, które są dostępne w grze (dla niezdecydowanych, jest też opcja losowania). Są to Nordowie, Pustynni Jeźdźcy oraz Klan Smoka. Każde z plemion ma indywidualne cechy, które można przypasować do swojego stylu gry. A co najlepsze, w potyczkach wszystkie chwytaki są dozwolone - opcje, które w kampaniach odblokowują się z czasem, tutaj dostępne są od razu. Szybki atak a może spokojna rozbudowa? Wszystko zależy od gracza! Na niezapomnianą rozgrywkę wpływa też klimat - bo muzyka w Paraworldzie pozwala poczuć się tak, jak gdybyśmy byli w alternatywnej rzeczywistości.



ZAOBSERWUJ nasze social media

facebook.com/MagazynPresik

instagram.com/presik_ujk

tiktok.com/@presik_ujk

**CHCESZ SIĘ Z NAMI
SKONTAKTOWAĆ
CZY DO NAS DOŁĄCZYĆ?
NAPISZ NA
PRESIK_UJK@OP.PL
LUB W FORMULARZU
NA STRONIE**

<https://presik.ujk.edu.pl/contact/>

